

DEPTANIE KAPUSTY

Wojciech Gawroński

Zakład Medycyny Wychowania Fizycznego i Sportu, Akademia Wychowania Fizycznego, Kraków

W bieżącym roku wkroczyliśmy jako Polskie Towarzystwo Medycyny Sportowej w dziesiąty rok bojów legislacyjnych, od czasu, kiedy to na spotkaniu Zarządu Głównego w Gdańsku powołano Komisję do spraw legislacji. Mija również 10 rocznica uchwalenia ustawy o kulturze fizycznej, do której nie wszystkie akty wykonawcze ujrzały światło dzienne. Lada moment minie rok, jak weszła w życie ustawa o sporcie kwalifikowanym, która w niektórych punktach zmieniła wymienioną ustawę. Niemniej w dużej mierze oba akty prawne pozostają na papierze z powodu... dreptania w miejscu urzędników ministerialnych, a co najwyżej dreptania pomiędzy departamentami w poszczególnych ministerstwach albo pomiędzy siedzibami ministerstw. Nie wiem, czy opieszałość wynika z tego, że siedziba, jak nazwa resortu odpowiadającego za sport, zmienia się w zależności od koncepcji zmieniających się rządów. Poza tym to dreptanie w miejscu przypomina deptanie kapusty, czynność nader prostą, ale wymagającą czystych nóg - przepraszam „rąk” i przede wszystkim chęci do dreptania, czyli zrozumienia problemu. Nie jestem przekonany by tym grzeszyli urzędnicy obu ministerstw i ich zwierzchnicy.

Oczywiście w Polsce na medycynie, sporcie i polityce znają się wszyscy i to jest właśnie „tragedią” naszej rzeczywistości. Nie od dziś problemem polskiej medycyny sportowej jest to, że w swej działalności znajduje się między dwoma resortami: merytorycznie w Ministerstwie Zdrowia, zaś „pacjenci” czyli zawodnicy podlegają obecnie Ministerstwu Sportu, a uczniowie czyli, potencjalni kandydaci na sportowców - Ministerstwu Edukacji. Dochodzi do tego jeszcze Narodowy Fundusz Zdrowia, dysponent środków finansowych, w tym wypadku niezbędnych do refundacji kosztów porad w zakresie medycyny sportowej.

Szczerściem dla poradnictwa sportowo-lekarskiego jest to, że w tej nader skomplikowanej sytuacji daje się jednak zauważyć ze strony urzędników więcej uznania dla fachowości tzw. konsultanta społecznego, jakim w sprawach merytorycznych jest PTMS i można mieć nadzieję, że zamiast dalej deptać w miejscu, w tym roku w kwestii legislacji będziemy się posuwać krok za krokiem do przodu.

W dniu 26 stycznia 2006 r. do artykułu opublikowanego w „Gazecie Wyborczej” wkradło się dużo nieścisłości na temat badań sportowo-lekarskich, a podstawowy zarzut, postawiony przez dyrektora „Świt” Andrzeja Prawdę, jest chybiony. Nie chcemy „wypychania kieszeni czy swoich portfeli”, jak twierdzi w artykule wspomniany Pan. Przypomnijmy mu, jak i rzeszy pseudododziałaczy piłki nożnej, że badania sportowo-lekarskie to również bezwzględny warunek otrzymania licencji zawodniczej, a takowej do dzisiaj nie posiada ani jeden piłkarz w Polsce. Już nawet wspomniana ustawa o kulturze fizycznej z 18.01.1996 roku z późniejszymi zmianami wprowadzonymi w trakcie już 10 lat jej ważności, zawierała ciągle zapis o obowiązku przeprowadzania badań sportowo-lekarskich. A teraz, od roku wyraźnie mówi o tym ustawa o sporcie kwalifikowanym. Zapytam, co zrobiła centrala PZPN w tej kwestii? Nic – poza tym, że na posiedzenie komisji medycznej zaprosiła przedstawiciela PTMS. Przypomnę, że badania sportowców do 21 roku życia są w pełni opłacane przez Narodowy Fundusz Zdrowia, czyli są bezpłatne. Aby tak dalej było, wymagana jest na następnym okresowym badaniu licencja. W przypadku jej braku koszty badań winien pokrywać badany albo jego klub. Proszę się nie zdziwić, że pewnego pięknego poranka NFZ obciąży lekarzy nie egzekwujących tego zapisu rozporządzenia kosztami badań i to lawinowo zatrzyma badania osób nie posiadających licencji.

Ale to nie dotyczy piłki nożnej!!!, ponieważ w dalszym ciągu w tym środowisku obserwuje się tumiwizację w tej kwestii i sędziowie respektują tzw. karty zdrowia sportowca, kolportowane przez kluby i podbijane „na plecach” przez zaprzyjaźnionych doktorów; najczęściej przez przysłowiowego ginekologa żony prezesa klubu! Dlatego gwoździ formalności przypomnę podstawowe zasady badań, które mogą się przydać działaczom oraz lekarzom „klusownikom”.

Orzekanie o zdrowiu człowieka poddawanego wysiłkom w stanie stresu, a tym jest właśnie sport kwalifikowany; czyli uczestniczenie we współzawodnictwie sportowym - i to nie ważne na jakim poziomie zaawansowania - organizowanym przez Polski Związek Sportowy, musi być wykonywane, przez specjalistów medycyny sportowej lub lekarzy posia-

dających certyfikat wydany przez PTMS, w ramach zarejestrowanej działalności lekarskiej. Poza tym dokumentację badań należy przechowywać zgodnie z rozporządzeniami ministra zdrowia.

Uprawianie sportu jest dobrowolną formą zachowań każdego człowieka, ale jego dobrostan psychosomatyczny jest dobrem i obowiązkiem państwa. Są więc dwie drogi uporządkowania tego niebagatelnego problemu.

Pierwsza na wzór obowiązującej ustawy o medycynie pracy – klub, czyli pracodawca subsydiuje badania swoim pracownikom; zawodnikom powyżej 21 roku życia. Bo klub, to zakład pracy, a prezes i zarząd klubu, to organizator jego życia. Dzieci i młodzież mają natomiast zagwarantowane bezpłatne badania w przypadku ubiegania się o licencję - czyli badania wstępne. Kolejne, okresowe badania - przede wszystkim z powodu opieszałości niektórych związków sportowych, czyli braku licencji - mogą przestać być bezpłatne.

Druga, nieco radykalna, to zaniechanie badań sportowo- lekarskich – u osób powyżej 21 roku życia. Niech podejmują w aktywność fizyczną na podstawie oświadczenia, tak jak w rekreacji!!! Minister zdro-

wia oraz minister sportu powinni wydać, w ślad za rozporządzeniem ministra sportu z dnia 28 kwietnia 2006 r. w sprawie zakresu opieki medycznej nad zawodnikami zakwalifikowanymi do kadry narodowej w olimpijskich dyscyplinach sportu (ciekawe tylko dlaczego kadrowicz ma jeździć specjalnie do Warszawy na badania, skoro to samo może zrobić w jednostce akredytowanej w terenie, a COMS aktualnie to najzwyczajniejszy „spozik”), odpowiedni akt prawny, eliminujący badania sportowo- lekarskie dla pozostałych osób jako obowiązujące przy kwalifikacji do sportu.

Niemniej będzie to duży wstyd, w kontekście chęci wprowadzenia w państwach Unii Europejskiej medycyny sportowej w połączeniu z prewencją jako specjalizacji podstawowej. Przypomnę, że polscy lekarze od zawsze brali udział w tworzeniu podwalin medycyny sportowej w świecie, a cytowany artykuł „Przychodzi sportowiec do lekarza” nie może budzić anegdotycznych skojarzeń. Zawołanie kabaretu TEY „weźta się ... chłopcy do roboty, bo łopaty rdzewieją”, jest jak najbardziej na czasie. Powiem inaczej: skończcie dreptać, a weźta się do solidnego deptania kapusty.